

NIEKOMPLETNOŚĆ

G R Z E G O R Z

GORIAI



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Księgarnia Internetowa E-ksiazka24.pl](#).

NIEKOMPLETNOŚĆ

Tego autora również

Zła krew
Szczury i wilki

NIEKOMPLETNOŚĆ
G R Z E G O R Z
GORTAT



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

© Copyright by Grzegorz Gortat, 2010

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010

Projekt layoutu *Mariusz Filipowicz*

Projekt okładki *Karolina Michałowska*, www.360stopni.com.pl



02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 022 643 93 89, 022 331 91 49, faks 022 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel.: 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 70 g/m² wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący **Anna Garbal**
Redakcja **Magdalena Korobkiewicz**
Opracowanie DTP, redakcja techniczna **Joanna Wieczorek**
Korekta **Joanna Kończak, Joanna Egert-Romanowska**

ISBN 978-83-10-11739-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL, Inowrocław

*Czymże jest życie, jeśli nie seria preludiów do owej nieznanej pieśni,
której pierwszą wzniosłą nutę wygrywa śmierć?*

Franciszek Liszt

Usque ad finem
Dedykuje M.

I.

KIEDY OJCU ucieli nogę, czyli już po wszystkim, zaczął o sobie przypominać. Ważne: gdy dowiedziałem się o tej historii, ojciec już nie żył. Noga poszła do piachu trzy lata przed nim. Miał czas przywyknąć. Nie każdy ma to szczęście. Lewa czy prawa? Dla ojca, myślę, nie bez znaczenia. Chociaż, jakkolwiek by patrzeć, rachunek jest ten sam: noga plus dwie kule to nie to samo co para nóg.

A ci mają obie nogi — i dokąd one ich niosą? Idę za nimi. Chcę zobaczyć. Chociaż nie żywię wielkiej nadziei. Mają swoje zegarki i więcej im nie trzeba. Całą chmarą ciągną na rynek, gromadzą się pod ratuszowym zegarem, by pod niebem rozświetlonym noworocznymi fajerwerkami oczekiwać północy. Tańczą, piją szampana i nie wiedzą.

Tamten jeden wie? Odłączył od reszty i idzie pustymi ulicami. „Skoro jest nas dwóch — pomyślałem — nie wszystko jeszcze stracone”. Usłyszał moje kroki. Obejrzał się, ale nie przyśpieszył. Cel miał już na wyciągnięcie ręki. Ze zręcznością cyrkowca wdrapał się na balustradę mostu i skoczył. Z tysiąca odpowiedzi znalazł tę właściwą — i się nie zawahał.

Pomyśleć, że mogłem być na jego miejscu. Jakże go znienawidziłem!

2.

W SOBOTĘ wybrałem się pociągiem do K. Od tygodnia nie padał śnieg i pogoda była znośna. K. to niebezpieczne miasto. Pełne ślepych uliczek i Historii. Ja poruszam się pewnie, bo widzę więcej. Właściwie przyjechałem tu dla jednego poety. Obszedłem wszystkie miejsca, które miał zwyczaj odwiedzać, potem nawiedziłem cmentarz. Nic się nie zmieniło. Pamiętają. Nawet w zimowy powszedni dzień na grobie poety kładą cięte kwiaty i zapalają znicze.

Podniosłem kołnierz płaszcza i do wieczora błąkałem się po wąskich, zadbanej uliczkach, wreszcie, zgłodniały, zaszedłem do pierwszej napotkanej restauracji. Usiadłem przy pojedynczym stoliku, z dala od okna, rozejrzałem się po ciemnych, pachnących stodołą kątach. Zjawił się kelner i jego widok upewnił mnie w podejrzeniach. Przypadkiem trafiłem do jednego z owych drogich lokali, gdzie bogaci i dobrze urodzeni zamawiają pierogi okraszane słoniną. W prawie pustej sali jadłem wiejskie pierogi i zerkałem na dwoje jedyne poza mną gości. On, nie krępując się moją obecnością, przykrywał ręką dłoń towarzyski i zaglądał jej w oczy. Grzane wino rozpalało policzki kobiety. Jadła mu z ręki wiejski chleb i pozwalała rozchyłać sobie kolana. Miał byczy kark, więc choćbym się odważył, nie dałbym mu rady. A więc się stanie. Zaprowadzi ją do swojego pokoju, zerwie z niej sukienkę i już nic im nie przeszkodzi. Kto, jeśli nie ja, powinien na odchodnym krzyknąć, że winni zapy-

tać o zgodę tego, który z takiej nocy może się narodzić? Zapłaciłem, zbeształem kelnera i ruszyłem przez bezludny rynek do hoteliku przy pałacowej bramie, w którym wynająłem na jedną noc niedrogi pokój z widokiem na dachy domów.

3.

Y. JEST redaktorem naczelnym w dużym wydawnictwie. Powierzyłem mu moją książkę, bo bywa też poetą. Poprosił mnie do siebie po dwóch miesiącach, widać uznał, że zbyt natrętnie kłaniam mu się na ulicy. Zanim zwrócił mi zapisane stronicę, pochwalił lekką zimę, po czym długo i uprzejmię wypytywał o zdrowie. Dobrze ich wychowują. Ale mylił się, sądząc, że mu wybaczę. Y. ma miękkie dziewczęce dłonie i oddając rękopis, tłumaczył, że książki coraz gorzej się sprzedają. A ja dorastałem wśród dużych, nieforemnych dłoni. Przez lata kaleczyłem nazwiska zagranicznych pisarzy, którymi Y. zongluje jak losem moich wierszy.

Na korytarzu minąłem dyrektora wydawnictwa. Skrzywił rybią twarz, jakby zwęszył padlinę.

4.

A JA MAM swoje obrazy. Przyszła do mnie pani de R. i zażądała portretu. R. zna najważniejsze osoby w mieście. Na handlu własnym ciałem dorobiła się majątku i zyskała powszechny szacunek.

— Oczywiście — odrzekłem, nie bez zazdrości patrząc, jak wspaniałomyślnie się z nią obeszła natura. R. ma twarz, jaką malarze przechowują w najskrytszych szkicownikach.

— Niech pan zaczyna. — I weszła za parawan.

Rozdrażniła mnie tym. Sprzedając talent, ale jestem panem własnego czasu.

— Po co ten pośpiech? — sarknąłem.

— Bo umieram.

Stała przede mną naga. Zadrzałem. Zląkłem się, że zabraknie mi umiejętności i odwagi. To, co widziałem jako doskonałe, miałem stworzyć na nowo bez popelnienia jednego błędu.

Trzy godziny później, już ubrana, rozejrzała się po ścianach mieszkania, w którym żyjemy zgodnie — ja, obrazy i książki.

— Będę jutro o tej samej porze — zapowiedziała, nie pytając mnie o zdanie. — Proszę dobrze napalić w piecu.

Nie rozmawialiśmy o pieniądzach. Zamknąłem za nią drzwi i wpatrzony w szkic na sztalugach, rozmyślałem nad szczęściem.

5.

W KAWIARNI, w której z przyjaciółmi piję czasem wino i oglądam nagie kobiety, potykamy się o trupy wierszy. Doktor S. wyrecytował swój liryk i zebrał skromne oklaski. Zapadła cisza. Powiało grobem Rimbauda. Teraz J.T. Nie żałując nam wi-na, odczytał świeże wersy poematu elegijnego, nad którym się mozoli od zeszłej zimy. Nadeszła moja kolej.

— Nie napisałem nic nowego — skłamałem.

— Wciąż te same kurwy — zdenerwował się doktor S., rozglądając się po lokalu. — Starzeją się — wytknął. Wszyscy trzej przytaknęliśmy.

Zagrała muzyka, striptizerka wysunęła się zza kurtyny. Przez środek sali, w kierunku stolika pod sceną, kuśtykał spóźniony i po drodze zdejmujący płaszcz M., w swoim czasie znany reżyser filmowy. Stolik pozostaje pusty, odkąd M. jest po tamtej stronie. Kto by się do takiego przyznawał. Prawda, tworzył zajmujące filmy o życiu i miłości, ale z tym już koniec. Pewnego dnia przed kamerą zdjął buty i demonstrując okrutnie zdeformowane stopy, wodząc palcem wskazującym po krajobrazie zniszczeń, jakie poczyniły artretyzm i starość, zaczął objaśniać i tłumaczyć. Domagał się uwagi. Odkąd przestał kręcić filmy, lęka się, że czeka go zapomnienie — więc szantażując nas swym wiekiem i kalectwem, podtykając nam pod nos poskręcane paluchy, zmuszał do patrzenia, swą starością omotywał wszystkich jak pająk siecią. Szukał widowni dla ostatniego

spektaklu, którego zaraźliwą brzydotę umyślił awansować do rangi sztuki.

Przez wiele lat rok w rok spędzałem letnie wakacje w W. Autobus wiózł mnie przez wsie i miasteczka, aż — mniej więcej w połowie drogi — zatrzymywał się na dłuższy postój w Ł. Stali pasażerowie wiedzieli, co nastąpi. Balansując na rękach, gramolił się do autobusu kadłub Cygana. Kikuty nóg miał jak przyrośnięte do drewnianego postumentu i nie mogłem nie pomyśleć, że taki się urodził. Kiedy pomagając sobie rękami, przeciskał się środkiem pojazdu, przypominał osobliwego robaka na dwóch kończynach. Mówiono, że z tego, co uzbierał, wystawił sobie pałac. Ludzie patrzyli na te żałosne kikuty, dyskretnie macali się po zdrowych nogach i płacili.

Cygan zebrał o pieniądze, M. domagał się od nas współuczestnictwa. Odkąd dowiedziałem się o ojcu, nieraz zachodziłem w głowę, po której stronie go umieścić z tą uciętą nogą.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Księgarnia Internetowa E-ksiazka24.pl](#).